

DEFILADA

TYGODNIK ZOLNIERZY I. DYWIZJI PANCERNEJ

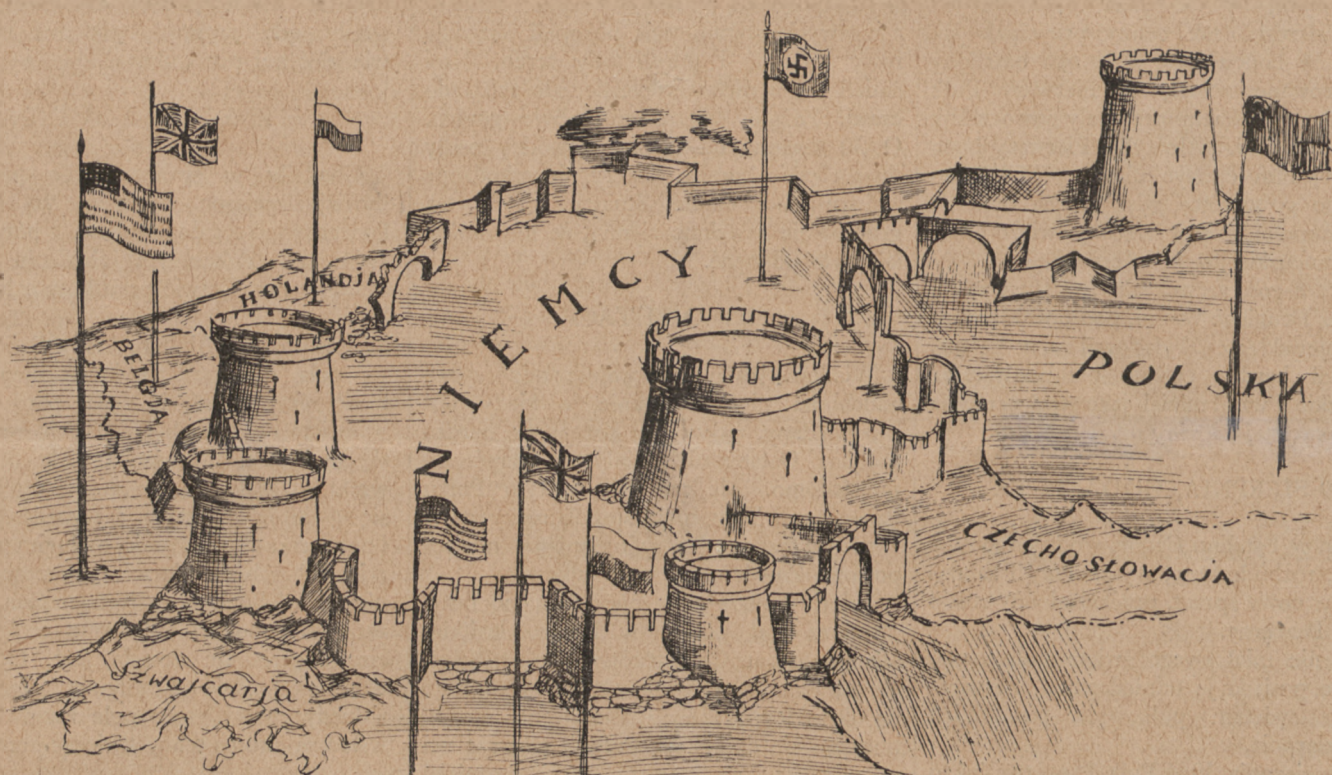
ROK II

11 LUTEGO 1945

Nr. 8

CENA POJEDYNCZEGO EGZEMPLARZA 20 CENTOW HOL.

PRZED SZTURMEM NA TWIERDZE NIEMIECKĄ



Wojskowym celem spotkania Churchilla, Roosevelta i Stalina jest uzgodnienie ostatecznego szturmu na fortecę niemiecką.

Niemcy chwalili się dawniej, że Europę zamienili w fortecę. Była to forteca jakby średniowieczny zamek : budowa podwójna, wewnątrz dolnego zamku mocniejszy zamek górny. Dolny zamek : Francja, Belgia, Wło-

chy, Polska, Węgry Balkany, został zdobyty w ostatnim roku. Górny zamek : Niemcy, jeszcze się broni. Mury jego są nadwątłone, niektóre wieże zdobyte, ale całość stoi i trzeba ją wziąć szturmem. ¶

Od wschodu obrona niemiecka opiera się o trzy bastiony : Prusy Wschodnie, Czechy i Austrię, od południa chroni Niemcy wał

Alp, od zachodu Westwall czyli fortyfikacje linii Zygfryda, osłaniające Nadrenię.

Sprzymierzeni stoją wszędzie dokoła. Na zachodzie wdarli się już do Niemiec na małym kawałku koło Akwizgranu/Aachen/, na wschodzie zburzyli prawie basztę wschodniopruską i łukiem weszli pomiędzy nią a basztę czeską.

PIERWSZY PANCERNY

Największą bitwą polskiej broni pancerniej w czasie kampanii francuskiej 1940-go roku była pamiętna bitwa pod Montbard. Brała w niej udział 10. Brygada Kawalerii Pancernej, wywodząca się z przedwojennej 10. Brygady Kawalerii Zmotoryzowanej. W jakim składzie brała udział 10. B. K. Panc. w bojach kampanii francuskiej? Dowództwo i Pierwszy Batalion Pierwszego Pułku czołgów, Bateria artylerii Przeciwpancernej, Bateria Artylerii Przeciwlotniczej, dwa szwa-

drony pułku Białych Ułanów, pół Kompanii Saperów i oddział motocyklistów.

Największą więc jednostką był ów Pierwszy Batalion Czołgów. Był to oddział młody.

NA POLACH FRANCJI

W listopadzie 1939 r. armia polska zaczęła się odradzać w wielkim obozie bretońskim Coetquidan. W tym właśnie miesiącu stworzono tam m. inn. Zgrupowanie Broni

Pancernej. Od grudnia przeniesiono je do Campegnac i nadano mu kształt organizacyjny 1. Baonu Czołgów. Z napływem ludzi Baon rozrósł się i wówczas wydzielono z niego Drugi Baon Czołgów, do którego skierowano żołnierzy pochodzących z przedwojennej Drugiego Baonu Czołgów.

Oba baony miały czołgi francuskie ... ale z 1917 roku. W dodatku niebardzo można było ich używać, bo naokoło obozu były pola truflowe a było nie do pomyślenia dla władz

W2 50/09



miejscowych, by dla takiej błahostki jak wojna niszczyć tak cenny przysmak jak trufle. W końcu maja 1940 oba bataliony zorganizowane zostały w Pierwszy Pułk Czołgów i w Wersalu otrzymały nowoczesny sprzęt francuski. Ale tylko Pierwszy baon mógł się nim cieszyć dłużej. Drugiemu odebrano go wkrótce, gdyż trzeba było na gwałt uzupełnić sprzęt stracony świeżo przez pułki francuskie już będące w akcji.

Toteż 8-go czerwca na front wyruszył Pułk bez Drugiego Baonu, pod dowództwem plk. Majewskiego. Wyładował się w Vertus, przeszedł bardzo ciężkie bombardowanie niemieckie i wziął udział jako straż przednia w historycznej bitwie pod Montbard.

19 SIERPNIĄ, GODZ. 12-TA

Pierwszy Batalion Czołgów odtworzony w Szkocji, rozbudowany, wyszkolony i zaopatrzony w nowy sprzęt, przekształcony został w Pułk Pancerny.

Pułk nie miał swego święta pułkowego. Obecnie posiada je odniedawna. Zatwierdzonym świętem pułkowym jest dzień 19-go sierpnia.

19-go sierpnia 1944 Pułk Pancerny już o godzinie 12-iej w południe dotarł do wzgórza oznaczonego cyfrą 262 a znanego powszechnie u nas jako Maczuga. Skutkiem tego przybycia Pułku było zatrzymanie kolumny niemieckiej idącej na odsiecz wojskom niemieckim w kierunku północnozachodnim. To zatrzymanie zadecydowało o możliwości zamknięcia „worka” Falaise. Owocem walki tego dnia była owa dwumilowej długości droga, cmentarzysko niemieckich żołnierzy, sprzętu i koni. Sami Niemcy zresztą także palili własne składy. Ogień był tak silny, że robił wrażenie pożaru jakichś olbrzymich składów amunicji. Sciana dymu wznosiła się do góry na kilkaset metrów.

NIE TRZEBA SIĘ Z NIKOGO SMIAC

Zamieszczona przy tym artykule fotografia spokojnie siedzących nad rowem czołgistów dokonana była wkrótce po znanym pomyłkowym bombardowaniu w Normandii przez lotnictwo sprzymierzone. Pułk miał w owym dniu dużo szczęścia.

Zajął stanowiska po Kanadyjczykach, którzy z niezwykłą starannością pokopali wszędzie rowy artylerii i poryli cały teren. Nasi śmieli się z nich serdecznie, ale tylko do czasu. Później błogosławili. Było gorąco. O 30 metrów od poczty dowódcy padły dwie ciężkie bomby. Cztery nieuszkodzone żadnymi odłamkami Sturty zostały tak gruntownie zawałone ziemią, że nie można ich było odkopać.

SEN O BUTACH

Wiadomo jak bywa na wojnie: odpoczynek nadchodzi niespodziewanie, a kiedy jest zapowiadany, najczęściej kończy się bardzo szybko. Ostatecznie nigdy nie naprawdę niewiadomo. Ale nie tak w tym Pułku Pancernym. Tam mają sposób niezawodny i wiedzą zawsze zgóry o zmianie miejsca postoju. Zawdzięczają to Wojkówce.

Jeżeli Wojkówce w nocy śnią się buty, wymarsz jest pewny w bardzo krótkim odstępie czasu. Choć trudno w to uwierzyć, ale tak jest. Jeżeli Wojkówka przyjdzie rano do dowódcy i mówi „Panie pułkowniku, buty mi się dziś znowu śniły”, nikt nie ma wątpliwości, co nastąpi i przeczniejsi zaczynają się pakować. Sen o butach nie



zawiódł dotąd jeszcze ani razu, nawet wtedy, gdy naprawdę nikt nie mógł ani wiedzieć ani przewidywać.

PRAWDA O SWINI

Chodziły w swoim czasie po naszej dywizji niejasne pogłoski, że Pierwszy Pancerny ma coś do czynienia z porwaniem świń. Po dokładnym zbadaniu sprawy możemy przedstawić prawdę w całej okazałości.

Było to pod Alphen, kiedy Pułk natrafił na pola minowe, na które nieprzyjaciel kładł silny ogień i kiedy parę czołgów wyleciało na minach. W terenie znajdowała się niewielka, licha szopa. Gdy otworzono wrota, okazało się, że wewnątrz znajdują się dwie żywe istoty: wynędzniały pies i potwornie chuda świnia, o długim smutnym ryju, żebrach na wierzchu, sterczącej miednicy i wielkich obwisłych uszach. Świnie zaprowadzono do jednego z czołgów i w cieniu gąsiennic dostała jeść. Odtąd nie dała się odpędzić od czołgu w żaden sposób, a kiedy ruszył przez pole minowe, biegła wśląd za nim co tchu, kwicząc przeraźliwie.

NISZCZYC WROGA A NIE SPRZYMIERZENCÓW

Wojnę, nawet tak bezlitosną, jak wojna nowoczesna, można prowadzić w różny sposób. Ambicją Pułku Pancernego było walczyć w ten sposób, żeby, niszcząc jaknajskuteczniej siły nieprzyjaciela, oszczędzać jaknajbardziej ludność cywilną krajów uwalnianych z pod okupacji. W czasie całego okresu pościgu prowadzonego przez dywizję, Pułk starał się unikać zniszczenia bez konieczności jakiegokolwiek budynku. Ludność Belgii zauważyła to, oceniła i wspomina do dziś dnia.

Niestety w Holandii było to często niemożliwe wobec bezwzględnej taktyki niemieckiej. I tu wszakże robiono, co się dało. Przed Bredą, gdy doniesiono, że obserwator nieprzyjacielski siedzi na wieży kościelnej, jeden ze strzelców, organista z zawodu, wzdragał się początkowo strzelać, mówiąc, że w kościele mogą być ludzie.

CO PISZA O SPRAWIE POLSKIEJ

TO JUZ ZA WIELE

Najbardziej oddany Sowietaom ze wszystkich dzienników angielskich, „News Chronicle” jest oczywiście najbardziej nieprzychylny Polsce. Teraz nagle zatroszczył się losem ...polskich żołnierzy. Oto, co pisze w dniu 26 stycznia :

„Choć rząd londyński jest wciąż uznawany przez Brytyjczyków i Amerykan, nie wierzę, żeby mógł przetrwać... Daleko większe znaczenie ma położenie polskich sił zbrojnych, podległych rządowi londyńskiemu, które walczą z wielką odwagą i zapałem na wielu frontach alianckich... Jest pilną koniecznością dla przywódców sprzymierzonych, w tym marszałka Stalina, rozwiać ich niepokoje przez określenie ich położenia i zapewnienie im pełnych praw jako obywatelom polskim.”

Nie, pismaki londyńskie, to już przesada ! Żołnierz polski nie jest najemnikiem, ale żołnierzem Rzeczypospolitej Polskiej i nie walczy dla waszych funtów, ale na rozkaz swego prawego rządu. Nie można go przehandlować ani nie można go od jego legalnych władz oddzielić. Sojusz polsko-brytyjski został zawarty nie z Jasiem ani Stasiem ale z rządem polskim i temu rządowi ma być dotrzymany. Jeżeli wojsko polskie się bije, to dlatego, że z jego rządem jest sojusz. O zachowaniu wojska polskiego decyduje stosunek rządu brytyjskiego do rządu polskiego, a nie troska o sprawy osobiste, bo nie pchaliśmy się do tego wojska przez tyle mórz, granic i frontów.

Za prośbą Stalina o prawa obywatelstwa polskiego dla żołnierzy polskich pięknie dziękujemy. Będziemy go ze swej strony prosili, żeby wam pozwolił po wojnie zachować obywatelstwo brytyjskie.



My goodness, my guinness !

NIEMIECKI LUBLIN?

„The Daily Herald” zajmuje wręcz przeciwne stanowisko. Zamieszcza on w dniu 31 stycznia artykuł pt. „Niemcy nie powinny się stać nowym polskim problemem”. W artykule tym przypomina, że w Rosji działa Komitet Wolnych Niemców, złożony przeważnie z jeńców, który w każdej chwili może przekształcić się w prowizoryczny rząd niemiecki pod wpływami Sowietaów. Organ armii amerykańskiej „Army and Navy Journal” przewiduje nawet, że Rosja może iść tu zupełnie taką drogą jak w Polsce i gdzieś we wschodnich Niemczech założyć niemiecki „Lublin”. Z oburzeniem przytacza „The Daily Herald” napaści Lublina na Polskę i jej rząd i kończy takim wnioskiem :

„Byłoby nieszczęściem dla nas, gdyby to wykrętne stanowisko doprowadziło do jakichkolwiek prześladowań w stosunku do naszych zwolenników w wyzwolonej Polsce. Wśród zwolenników rządu polskiego znajdują się bowiem piloci, którzy brali udział

w bitwie o W. Brytanię i tysiące polskich żołnierzy, walczących wraz z naszymi Sojusznikami w Holandii i we Włoszech. Wobec poglądów, które są obecnie propagowane przez Lublin, najlepszą odpowiedzią dla Morawskiego i dla jego pacholków będzie jeśli powiemy im bez wahania, że mówią bzdury.”

CZEMU CZESI ZDRADZILI

„... Moskwa zażądała od dr. Benesa uznania Lublina. Oparł się on temu, ponieważ nie chciał zrobić niczego, coby mogło być „niezrozumiane” przez Londyn i Waszyngton. Nastąpiło publiczne zganiecie za „niewdzięczność” na łamach „Wojna i Raboczyj Kłass”. Następną fazą było żądanie, by rząd czeski przeniósł się na swą własną wyzwoloną ziemię. Ten odpowiedział, że nie może podróżować tak szybko gdyż ma zbyt wiele bagażu. Trzecią fazą było to, że zarówno na miejscu jak i przez radio kijowskie Rosjanie jawnie zachęcali agitację wśród ludności Rusi Zakarpackiej za włączeniem jej do Sowietaów.”

„New Statesman and Nation” z 27 stycznia. Jak widać, pomogło

UWAGI

MADROSC W PUSZKACH

Zywność w puszkach konserwowych jest bardzo wygodna. Oszczędza wiele kłopotu. Nie trzeba wybierać, przyprawiać, warzyć. Wystarczy otworzyć gotową puszkę. Ale wiemy z własnego doświadczenia, że takie jedzenie konserwowe ma wartości równej świeżemu pokarmowi. Nudzi się szybko, a jeśli jeść je przez dłuższy czas, człowiek zaczyna się czuć kiepsko.

Jedzenie z puszek jest znakiem naszej epoki. Jak zamiast męczyć się gotowaniem, jemy konserwy, tak samo korzystamy z gotowej muzyki zakonserwowanej w postaci płyt. Co więcej zamiast samemu myśleć, bierzemy gotowy produkt w postaci wydrukowanego artykułu, który często zastępuje ludziom poglądy własne. Jeszcze gorzej, że zamiast zastanawiać się nad pojęciami przyjmujemy gotowe hasła „z puszek”. Cóż ci fabrykanci gotowych konserw umysłowych już ludziom nie sprzedawali !

Naprzekąd puszka z napisem „Demokracja”. W roku 1940 demokracją była Finlandia, a Rosja totalizmem. Teraz odwrotnie : demokracją ma być Rosja a Finlandia totalizmem, choć się te państwa nie zmieniły. W roku 1941 demokratą był dyktator grecki Metaxas; teraz powiadają, że faszystami są ci, którzy z nim walczyli

w imię wolności. Biedny człowiek dostaje taką puszkę umysłową, czuje, że coś nie to samo, ale już taki jest ogłupiały, że sam myśleć nie potrafi i je na własną szkodę. A demokracja to właśnie jedna z tych rzeczy, których nie można dostać w puszcze. Bo demokracja to przede wszystkim obyczaj a nie recepta. Obyczaj szanowania godności każdego, bez względu na to, jaką pełni funkcję w społeczeństwie, obyczaj szanowania cudzych przekonań, obyczaj poddawania się prawu czy jest to wygodne czy nie, obyczaj ustępowania przed wolą większości. Demokrację trzeba wypracować, trzeba jej się dorobić samodzielnie.

Takich puszek z gotową konserwą umysłową jest pełno. Nie należy się do nich przyzwyczajać, nie trzeba się przywiązywać do nazw, ale zachować własny smak. Bo człowiekowi odzwyczajonemu od samodzielnego myślenia a przyzwyczajonemu do powtarzania gotowych formuł może się przytrafić i przytrafia się, że jakaś gangsterska fabryka wypuści pod nazwą potrawy, do jakiej był przyzwyczajony, coś zupełnie innego. Czytasz „Łosoś Kanadyjski” albo, nieprzymierzając, „Sprawiedliwość Społeczna”, zjesz i zaraz jedziesz do Rygi, a z Rygi, jak wiadomo, droga otwarta aż na Syberię.

**GEORGES
DUHAMEL :**

Byłem wtedy jeszcze młody i pełen sił. Podróżowałem po Afryce Północnej dla studiowania na miejscu małego wymoczka zwanego Bulinus Contortus. Przejechałem właśnie przez krainę Matmata. Opuszczając Matmata, postanowiłem zatrzymać się na odpoczynek jeden lub dwa dni u mego przyjaciela Si Mohammed Kerkur'a, który żyje w Dabdada, jest uczonym i zawsze traktował mnie, podczas moich podróży, z wyszukaną uprzejmością. Chciałem prosić go o przewodnika i poradę celem udania się do małej oazy Bir Agareb, leżącej w głębi Nefzaua. W Bir Agareb znajdować się miał, jak mi doniesiono, specjalny rodzaj moczaru, gdzie, wedle wszelkiego prawdopodobieństwa, powinien być żyć w dużej ilości mój Bulinus Contortus.

Si Mohammed Kerkur był już wtedy bardzo stary, a przynajmniej wydawał się bardzo stary. Żyje on w wielkim domu, poza gajem palmowym na skraju pustyni. Mówię „żyje” a nie „żył”, na postawie głębokiego przekonania, które wyjaśnię za chwilę. Si Mohammed mieszka sam, to znaczy, nie znam nikogo z jego rodziny. Ma on jednak służących i piękny ogród. Biblioteka jego jest sławna. Jest to człowiek wykształcony na sposób staroświecki. Gość lubiący stare rękopisy może wiele skorzystać podczas pobytu w Debdada. Rzecz szczególnie : okoliczności w jakich podróżowałem nie pozwalały mi nigdy zawiadomić zgóry Si Mohammeda o moim przyjeździe; a jednak za każdym razem zastawałem przygotowany pokój i ciepły posiłek czekający na gorących węglach...

Do Debdada przybyłem o zmierzchu. Zapadał on bardzo wczesnie, gdyż styczeń zaledwie dobiegał końca. Si Mohammed był na modlitwie. Mimo to pojawił się, pozdrowił mnie, jak zawsze, z wielką uprzejmością i zawołał na szauszów, aby wnieśli moje rzeczy do wnętrza domu. Po pół godzinie, odświeżony, wypoczęty, siedziałem koło mego gospodarza na jednej z tych niskich sof, pokrytych kosztownym dywanem, jakie wraz ze skrzynią i stołem są jedynym umeblowaniem długiej i wąskiej sali, gdzie Si Mohammed przyjmuje gości. Podano nam tam obiad obfity i delikatny. Potym zapaliliśmy papierosy i rozpoczęła się rozmowa.

Staralem się wytłumaczyć Si Mohammedowi znaczenie moich badań nad Bulinus Contortus i jak to niewinne stworzenie mogło stać się rozsądnikiem niebezpiecznej choroby, dziesiątkującej ludność jego kraju. Si Mohammed słuchał z cudowną grzecznością, która nigdy nie pozwalała sobie na sprzeczenie, ale nigdy też nie posuwa się aż do wyrażania potwierdzenia. Zdaje mi się, że w tym momencie naszej rozmowy właśnie pozwoliłem sobie wypowiedzieć pochwałę maszej wiedzy zachodniej, która — jak

mówiłem — jest w trakcie przeobrażania oblicza świata i która w przyszłości niewątpliwie dokona rzeczy jeszcze bardziej wspaniałych i nadzwyczajnych. Może być, że w tym też momencie, w zapale, wyrwało mi się jakieś słowo o wyższości wiedzy europejskiej, gdyż nagle Si Mohammed Kerkur, nie przestając się zresztą uśmiechać, zrobił przelotną aluzję do starej wiedzy Islamu. Gdy słuchałem go ze zdziwieniem zabarwionym pewnym sceptycyzmem a z pewnością i trochę próżnością, gospodarz zauważył, że wiedza jego rodaków i wiedza Zachodu nie mogą się w żaden sposób ze sobą równać, ponieważ nie mają tego samego przedmiotu badań i nie idą tymi samymi drogami. Wypowiedział przytym dwa czy trzy zdania, których niestety nie zanotowałem, ale które pamiętam, że mówiły, iż my jesteśmy w błędzie, pogardzając pewnymi praktykami, które prowadzą do lepszej znajomości istot żyjących i przedmiotów. Ponieważ nie uważałem za stosowne nawet odpowiadać na to, więc zapadło długie milczenie.

Przerwałem je, oświadczając memu gospodarzowi, że chciałbym nazajutrz udać się do Bir Agareb, że nie znam drogi i że liczę, iż on dostarczy mi pewnego przewodnika i dobrego muła. Si Mohammed namyślał się długą chwilę, poczym powiedział, że mogę spać spokojnie i że od świtu przewodnik i muł będą czekać na mnie na podwórku. Od Debdada do Bir Agareb liczyć trzeba około sześćdziesięciu kilometrów w linii prostej a więcej z pewnością po krętych ścieżkach biegnących przez Džebel. Obliczywszy to wszystko, wyraziłem zamiar wyjazdu przed świtem. Gospodarz się zgodził. Kazał mi następnie odprowadzić do mego mieszkania, gdzie wciąż gorzały węgle w mosiężnym palenisku, życzył mi dobrego spoczynku i zniknął po kilku słowach wypowiedzianych z najwyższą grzecznością.

Nazajutrz rano, zapakowawszy plecak, zasznurowawszy giety i owinawszy się dobrze peleryną, mając na podorędziu pochwę z okularami na wypadek zawieruchy piaszczystej, wyszedłem na podwórzec. Był on wpośrodku ozdobiony prostym drzewem daktylowym. Do pnia tego daktyla zobaczyłem uwiązane krzepkiego muła, zaopatrzonego w doskonałe siodło i uprząż ze srebrnymi spinkami. Si Mohammed już wstał i doglądał wierzchowca, mówiąc przytym doń coś pocichu, niby do ludzkiej istoty. Zaczął mi składać życzenia szczęśliwej drogi, kiedy poprosiłem go o przedstawienie mi przewodnika. Na te słowa, gwizdnął cichło dwukrotnie i nagle zobaczyłem, że z cienia wychodzi zupełnie małe dziecko, podchodzi do nas i bierze za uzdę muła, wspinając się przytym na czubki swych bosych palców. Ponieważ

wciąż czekałem, spoglądając to na dzieciaka, to na drzwi domu, Si Mohammed kościstą ręką wskazał na dziecko i rzekł :

— Oto jest twój przewodnik. Nazywa się Zaruk.

W pierwszej chwili myślałem, że to żart, trudny do pogodzenia z poważnym charakterem mego gospodarza. Widocznie odgadł moje myśli, bo uśmiechnął się i wyszeptał:

— Doktor Benezech może jechać spokojnie. Zaruk będzie dla niego doskonałym i wiernym przewodnikiem. Odpowiadam za niego jak za siebie samego. Zna on drogę i nie pozwoli by ci czegokolwiek zabrakło. Dziś wieczór o zmierzchu ujrzysz światła Bir Agareb i prześpisz się u Merzuka, mego krewnego, który już przygotowuje jagnię, aby godnie uczcić twoją obecność.

Na te słowa Zaruk podniósł ku mnie drobną twarzyczkę, miłą, dzielną i inteligentną. Dzieciak był ubrany w szeszię, która wydała mi się nieco brudna przy świetle dwóch latarni oświetlających podwórzec. Nogi miał chude, stopy bose, koszulę związaną w pasie sznurem a na niej burnus z grubej wełny, w którego kapturze umieszczony był chleb. Był to niewątpliwie bardzo mały chłopiec, który, w razie kłopotu, nie mógł mi być żadną pomocą. Spojrzenie miał jednak ładne i odważne. Pozatym jakiś wstyd zabraniał mi sprzeczać się z Si Mohammedem. Zrobiłem fatalistyczny ruch ramionami i dosiadłem muła.

— Zaruk, dodał jeszcze Si Mohammed, pójdzie przed twoim wierzchowcem. Od czasu do czasu weźmiesz go na kulbakę, by mógł wypocząć.

Przy tych słowach uczoney skinął ręką i ruszyliśmy.

Muł był młody i ognisty. Przez pierwszych kilka minut szedł dobrym truchtem w pierzchającej nocy. Mały Zaruk biegł koło mej nogi i nieustannie cmokał, by pobudzić zwierzę do biegu. Niebo zaczęło jaśnieć. Z każdą chwilą widziałem coraz wyraźniej mego małego towarzysza. Byliśmy, jak mi się wydawało, o dobrą milę od Debdada, kiedy ściągnąłem cugle i kazałem Zarukowi wsiąść na kulbakę. Z zadziwiająco zręcznością wykonał skok i usadowił się za mną. Prosiłem go, by mnie trzymał za pas i sam kierował mułem, gdyby było trzeba zjechać z dotychczasowej ścieżki. Dziecko rozumiało dość dobrze sabirski mieszany z francuskim i arabskim, jakim mówiłem od naszego wyjazdu. Znowu cmoknął i ruszyliśmy sporym truchtem.

Wędrowaliśmy tak przez blisko godzinę i miałem chwilami wrażenie, że popadam w drzemkę. Dzień tymczasem stawał się coraz piękniejszy. Słońce zaczęło przygrzewać kamieniste doliny. Chłód stał się tak ostry, że odczułem potrzebę przejścia się pieszo. Zatrzymałem muła i powiedziałem Zarukowi, by przytrzymał go za

Z A R U K

uzdę, kiedy będę zsiadał. Natychmiast zobaczyłem Zaruka przy głowie wierzchowca i odczułem zdumienie graniczące z osłupieniem. Czy możliwe, żebym się do tego stopnia pomylił przy pierwszym wejrzeniu o świcie, w świetle latarni? Zaruk nie był takim małym chłopcem, jakiego widziałem z początku. Był to chłopak co najmniej dwunastoletni, szczupły ale dobrze zbudowany, z długimi nerwowymi nogami. Znalazł, nie wiem gdzie na tej pustyni, kij wielbłądnika i trzymał go widocznie z instynktu położony przez kark i przytrzymywany mocno przez łokcie w taki sposób jak noszą gońcy Bledu. Przyglądał mi się z uśmiechem. Zobaczyłem, że trochę drży, a kiedy przyglądałem mu się, nie ukrywając ciekawości, powiedział spokojnie z niezłym akcentem :

— Zimno, proszę pana, zimno.

Zaczelśmy maszerować. Zaruk trzymał muła, a ja szedłem z tyłu, mniej spieszonym krokiem, zbierając czasem jakiś kamień, czasem kępkę trawy, a czasem któregoś z tych owadów o długich łapach, które odbywają tak fantastyczne kursy by dojsć na pustyni do schronienia, pokarmu czy wody.

W tym właśnie okresie poranka zacząłem doznawać, patrząc na idącego przede mną Zaruka, uczucia zdumienia równającego się przerażeniu. Wędrowaliśmy przez pustkowie niezwykle smutne. Na prawo domyślałem się olbrzymiego zakłębienia terenu, poza którym wznosił się łańcuch gór; kraniec tych gór, wskutek zjawiska mirażu widać było wpośrodku nieba ponad wielkim płatem lazuru. Na lewo sięgali ku nam pierwsze stoki Džebel Tebaga, wzdłuż których powinniśmy iść przez wiekszą część dnia, by je przekroczyć wieczorem. Lecz ja nie patrzyłem już na krajobraz. Cała moja uwaga była zwrócona na Zaruka i nie mogłem zrozumieć w żaden sposób co się działo z moim młodym przewodnikiem. Co pewien czas odrywałem wzrok od niego, czasem przez przypadek a czasem z rozmysłu dla dokonania doświadczenia, by zobaczyć na przykład na horyzoncie przejeżdżającego jeźdźca na grani lub by śledzić wzrokiem przelatującego ptaka. Natchmiast potym powracałem wzrokiem do Zaruka i za każdym razem miałem do samo uczucie, że poprzednio źle mu się przyglądałem, że jest on niewątpliwie nie bardzo różny od tego jakim był w poprzedniej minucie, ale jakby większy, silniejszy nie tylko niż był w nocy na podwórku, ale nawet niż przed chwilą na ostatnim zakręcie ścieżki między głazami.

W pewnej chwili spotkaliśmy dwa wielbłądy, idące niewiadomo skąd, obladowane gałęziami palmowymi. Szło z nimi dwóch długonogich zuchów, którzy przechodząc rzucili w swoim języku, zrozumiałym jeszcze dla mnie : „Dzień dobry, Zaruk; Szczęs-

liwej drogi, Zaruk!”. Nie wyglądali na zdziwionych widokiem młodego chłopca. Doszedłem więc do przekonania, że musiałem być niecałkiem rozbudzony u Si Mohammeda. Rozgrzewszy się dostatecznie marszem, postanowiłem dosiąść z powrotem mego muła i poprosiłem Zaruka, by mi pottrzymał strzemie. Chłopak stanął przede mną. Nie było mowy o pomyłce. Mogłem stwierdzić w sposób niewątpliwy, że sięga mi do ramienia. W tej chwili Zaruk podniósł głowę i popatrzył na mnie wprost przez dobrą minutę. W ciągu tej minuty zobaczyłem rzecz zdumiewającą, poprostu straszną i której prawie nie da się wysłowić, bo nie ma słów na wyrażanie rzeczy tego rodzaju. W czasie, kiedy przyglądałem się Zarukowi, widziałem wyraźnie, jak z brody wychodziły mu czarne włosy, rosły, wydłużały się w moich oczach z szybkością, która mi się nagle wydała przerażającą.

Usadwiłem się w siodle, ogłupiałem z niespodzianki i tak to trwało aż do godziny jedenastej. Od czasu do czasu zerkałem na mego przewodnika ukradkiem a nawet z lękiem. Za każdym razem był różny od siebie samego. Za każdym razem wydawał się starszy o pół roku, rok czy więcej. Za każdym razem jakiś szczegół w jego osobie napelniał mnie wzburzeniem do głębi duszy. Zauważyłem, że zaczął pośpiwywać grubym męskim głosem, trochę chropawym. W innej chwili odwinął burnus : zauważyłem, że nie jest to już burnus dziecinny, ale obszerny i solidny płaszcz dorosłego mężczyzny. Jeszcze kiedy indziej zauważył, że muł kuleje. Chwylił go za kopyto, obejrzał je i odkrył wielki kolec akacji Eburnea. Wyciągnął go ze zręcznością człowieka nawykłego do tego rodzaju pracy.

Oddany tym dziwacznych rozważaniom, przybyłem koło południa do schroniska Suatir.

Jest to, w środku pustynnego krajobrazu, murowany sześcian, otoczony kanciastym murem, jak bordz, zawierający coś w rodzaju stajni i ciemne izby, do których nie zaglądałem w obawie pcheł. Nad wejściem zawieszona była czaszka barania z rogami, co ma przynosić szczęście. Podmuchy wiatru przynosiły zapach ostrej frytury. Zaruk usługiwał mi sam na dworcu, na jakiejś skrzyni, w cieniu budynku. Posiłek składał się z chleba, zapiekanych owoców, jaj i suszonych oliwek. Potym Zaruk zniknął w głębi budynku z małą Beduiną, pełną wdzięku, ubraną w błękitną Melhafa, spiętą na ramieniu ciężką srebrną spinką. Zostałem sam wobec kamienistej równiny usianej kośćmi całego stada kóz, zabitych niegdyś razem, może przez mróz a może przez demony z armii Iblisu. Promień słoneczny ogrzewał mi miłe prawe udo i byłbym z pewnością zasnął, gdyby nie Zaruk, który pojawił się prowadząc muła za uzdę. Byłem

w stanie lekko rozespanym i nie mnie już nie dziwiło. Zaruk miał strzelbę i ładownicę. Był wyższy ode mnie. Czarna kręcona bródka ozdabiała mu szczękę. Dokola szeszi miał zgrabnie owinięty turban z białego płótna. Był krzepki i muskularny. Palił papierosa.

Szliśmy w milczeniu przez co najmniej godzinę wzdłuż zбочa dżebel. Czasami widzieliśmy jeźdźca, pasterza bez stada lub starą kobietę dźwigającą kawalek drzewa jak cenny materiał : pustynia jest dosyć zaludniona, jeśli posuwać się po niej dobrymi ścieżkami. Wszyscy ludzie mijani pozdrowali Zaruka i wołali go po imieniu. Niekiedy wymieniali kilka słów w przelocie. Słyszałem je dobrze : można z nich było sądzić że wszyscy widzieli go poprzedniego dnia czy zeszłego tygodnia. Dramat się komplikował i cały świat zdawał się współdziałać w pogłębieniu niepokoju w jakim się znajdowałem. Od czasu do czasu słychać było jakiś krzyk, głos ludzki, który zdawał się padać z nieba. To koziarkowie błędzący po stromych ścieżkach górskich nawoływali się z daleka i posyłali sobie tajemnicze wezwania. Wiedziałem, że w ten sposób właśnie rozchodzą się wieści po tych pustynnych przestrzeniach i poczułem się ogarnięty niewypowiedzianym niepokojem. Stare idee, które dotąd były dla mnie tylko czysto filozoficznymi pomysłami, stały się bliskie i namacalne jak światło, chleb, woda i powietrze. Z poczuciem nieskończoności, trwania, wieczności nie żyjemy zazwyczaj w bliskiej zażyłości. Owego dnia odczuwałem te rzeczy tak jak się odczuwa głód, pragnienie, żal, nadzieję. Tak, powtarzam, nie były to już dla mnie czyste idee, ale istota, ale przynależność mojej osoby i mego życia.

Roztrząsałem to wszystko, pogrążony w marzeniach, gdy nagle zobaczyłem że Zaruk zatrzymuje się wpośrodku drogi, zgina się wół jak ktoś, kogo chwycił gwałtowny ból, potym rozciąga się na ziemi. Zsiadłem z wielkim pośpiechem, uwiązałem muła do jakiejś skałki i uklęknę przy moim towarzyszu, dobywając torby ze środkami medycznymi, z jaką się nigdy nie rozstaję. Zaruk spoglądał na mnie wzrokiem nieprzytomnym. Puls miał szybki i słaby. Krople potu wzbierały mu na skroniach. Był podniecony a potym prawie natychmiast popadł w głęboki bezwład. Szukałem, jakiegoby mu dać lekarstwa, kiedy, w chwili, gdy rozwierałem mu szczękę, by wlać łyżeczkę eliksiru, zobaczyłem wyraźnie, że chudnie, mówię wyraźnie, topnieje w moich oczach.

(Dokończenie w następnym numerze)

Z ŻYCIA DYWIZJI

Kalendarzyk

11-17 LUTEGO

11 niedziela. Adolfa
12 poniedziałek. Eulalii
13 wtorek. Gilberta
14 środa. Popielec
15 czwartek. Faustyna
16 piątek. Julianny
17 sobota. Marianny

Rocznice Historyczne

12 lutego 1746 : urodził się Tadeusz Kościuszko, Naczelnik Narodu, wódz pierwszego powstania polskiego, jeden z przywódców amerykańskiej wojny o niepodległość, reformator społeczny, którego pomyślności znajdują się nie tylko w Polsce, ale także w Stanach Zjednoczonych i w Szwajcarii.

Rocznice Wojenne

15 lutego 1942 : Zdobycie przez Japończyków największej bazy wojennej brytyjskiej na Dalekim Wschodzie, Singapur; obecnie Sprzymierzeni szykują się do odbicia tego portu.

17 lutego 1940 : Uwolnienie 326 jeńców brytyjskich z pokładu niemieckiego statku „Altmark” u wybrzeży Norwegii; jeden z większych wyczynów „sportowych” tej wojny.

Święta Narodowe

11 lutego : święto narodowe Egiptu; Kraj ten o najstarszą historię, leży wzdłuż wielkiej drogi z Morza Śródziemnego na Czerwone i znajduje się w zależności od Anglii; stamtąd ruszyła Brygada Karpacka pod Tobruk, tamtędy przejeżdżali żołnierze polscy z Rosji do W. Bratanii, tam urzęduje polski minister dla spraw Bliskiego Wschodu.

Ewangelie

11-go : Uzdrawienie ślepego (Łuk. 18)
14-go : O poście (Mat. 6)

Wojna i Polityka

Wojska Sowieckie stanęły na Śląsku na linii Odry, w Brandenburgii i na Zachodnim Pomorzu zbliżają się do niej. Królewiec z okręgiem w Prusach Wschodnich i Budapeszt bronią się. Toruń został zajęty, w Poznaniu Niemcy jeszcze się opierają. Amerykanie przeszli do ataku w Alzacji.

Specjalny wysłannik prez. Roosevelta, Hopkins, był w Rzymie u Papieża. Papież interesował się szczególnie sprawą Polski. Hopkins w wywiadzie prasowym wypowiedział się przeciwko dyktaturze trzech mocarstw w Europie.

W parlamencie brytyjskim wywiązała się niespodziewana dyskusja w sprawie polskiej gdzie posłowie domagali się od rządu wyjaśnień. Z Polski nadeszły dalsze wiadomości o prześladowaniach sowieckich.

W Bułgarii komuniści rozstrzelali 3 regentów, 22 b. ministrów, 68 posłów i 101 wybitniejszych działaczy.

Z LISTOW OD CZYTELNIKÓW NA KRYTYKÓW

Na pierwszy odgłos bębna, na pierwszy [krok miarowy
Zrodzonej tak na czasie młodzieńskiej
[„Defilady”
Z próżności zakamarków wyległo mędrków [mrowie
I w unisono trąbią krytyki serenadę!

Potknęła się na czołgu i już od razu pranie,
I z „Defilady” czynią rekruckich kroków [tempo.

Dalibóg nie chcę więcej tych bredni o [Shermanie!

Ja płacę — chcę mieć korzyść ze swych [dwudziestu centów.

Czy zgrzeszył sam redaktor, z przepustki [powracając,

Lub zespół redakcyjny (w nawiasie to [nożyce)

Każdemu przecież drogę przelecieć może [zając,

Lecz to za błahy powód by „hajżać” na [Soplicę...

Kpr. T. I.

ZE SZPITALA

„...nie prosimy o wizyty, choć i takie byłoby dobre. Jest tu jeden z..., już piąty tydzień leży nieprzytomny, koledzy codzień w Brukseli, ale nikt go nie odwiedzi. Pięknie, tak „po naszymu”. A takich jest dużo...”

Kpr. J. Z.

SNIEG

Wiatr obcy, śnieżny, pędzi w dal,
a z nim me myśli rozmarzone
do innych śniegów są stęsknione
i sercem targa ból i żal.

Cień smutku w głębi serca legł.
Wspomniały mi się pola, drogi.

pokryte śniegiem siana stogi,
kochany nasz, rodzinny śnieg.

Spalonych wiosek przykrył ślad,
zasypał zbrodni obraz niemy,

jak listki białej chryzantemy
na na kwią zbroczone pola spadł.

Na kraj, co krwią serdeczną ciekl
zdziwione gwiazdy tam, w zefirze

boleśnie patrzą się na krzyże,
które przyprószył biały śnieg.

Zmarznięte w śniegu błyszczą łązy :

I kraj krwawiący świeżą raną
otulił białą swą sukmaną,

co nocką cudnym srebrem lśni.

Amarant krwi i biały śnieg
kolorem sztandar napomina.

W krzyże przybrana ta kraina
od morza hen do górskich rzek.

Przelana święta polska krew,
niewinna jak te śnieżne szaty,

za popalone sioła, chaty

rzuca nam gniewnej zemsty zew.

Plut. L. Mikołajczyk.

NOWOŚCI WOJENNE

Obrona przed V. 2.

Grupa uczonych angielskich pracuje od paru miesięcy nad wynalezieniem skutecznej obrony przeciwko bombie raketowej, znanej jako V. 2. Zadanie jest trudne, ponieważ V. 2 wylatuje na wysokość przeszło 80 kilometrów w górę i osiąga szybkość blisko 5000 kilometrów na godzinę, zwykle więc prawa balistyki nie stosują się do niej.

V. 2 zaopatrzona jest w radiostację. Niewiadomo jeszcze napewno, czy radio służy tu do kontroli kierunku przy pionowym locie czy też do wydania sygnału przy wybuchu, który zawiadamia Niemców, gdzie mniej-więcej bomba padła. I w jednym i w drugim wypadku oddziaływanie na to radio może unieszkodliwić częściowo bombę. Jest nawet nadzieja, że można będzie powodować zmianę kursu V. 2 tą drogą i upadek jej do morza.

Na tor V. 2 wpływa także pogoda, zwłaszcza śnieg i mróz. Podobno opracowuje się plan sztucznego wytwarzania takich warunków atmosferycznych.

Wreszcie uważają za niewykluczoną obronę artyleryjską. Przy wielkiej szybkości ognia i dokładnych instrumentach można trafić nawet cel poruszający się z tak szaloną szybkością jak V. 2.

Dane powyższe podajemy na odpowiedzialność prasy angielskiej.

ZAGADKA

Panowie : Kowal, Krawiec, Cieśla i Tokarz są jeden kowalem, drugi krawcem, trzeci cieślą, czwarty tokarzem. Ale żaden z nich nie jest z zawodu tym co głosi jego nazwisko. Każdy z nich żonaty jest z siostrą innego z tych czterech. Ale nazwisko panińskie żadnej z żon również nie pasuje do zawodu męża. P. Kowal nie jest krawcem, panna Cieślanka nie wyszła za tokarza, pani Krawcovej nazwisko panińskie odpowiada zawodowi człowieka, za którego wyszła panna Cieślanka.

Kto się ożenił z panną Krawcówną?

UKRADLI...



Matka Boska z Dzieciątkiem, rzeźba wielkiego artysty Michała Anioła (XVI W.) Którą Niemcy ukradli z kościoła Panny Marii w Brugii (Belgia)

Nasz Konkurs Wspomnień (1)

NIE ZAPOMNIAL

Ktoś powiedział, że wspomnienia są oznaką starości człowieka... A jednak ileż to razy czerpiemy siłę młodzieńczą właśnie we wspomnieniach. Posłuchajcie! Długa była moja droga do Wolnej Polski. Na jednym z jej etapów znalazłem się w samej „geografii” na Północy. Było to w 1939 r. Otóż pewnego bardzo mroźnego wieczora, szukając jakiegoś noclegu, szedłem dzielnicą portową pewnego miasta w kierunku znanej mi wioski.

Minałem potężne szczątki wraku pancernika angielskiego, który tu zawędrował w czasie tzw. Interwencji w tamtej wojnie i uskoczywszy z drogi startującym aeroplanem, chciałem już zawrócić w pola, gdy zauważyłem sznur innych sań, zaprzężonych w dziwaczne stworzenia — renifery. Dreptały w kierunku miasta, niosąc na łopatkowatych rogach wspomnienia dziecinnych lat, bajek i opowieści otulonych poświęcą Zorzy Polarnej. Płoneła na firmamencie obcego nieba. Chociaż mi wtenczas było wcale nie do bajek, jednak korzystając z okazji chciałem pogapić się na te zwierzęta i na ludzi, zwanych Samojedami. A więc dodawszy gazu w nogach dopędzam całe rogate towarzystwo, które w międzyczasie zatrzymało się na zaśmieconym placu przedmieścia. Poklepawszy sympatyczne „cielaki”, przyglądam się pilnie mniej miłym ludziom.

Specjalnie babiarzem nie byłem, a jednak poznałem, że w jednym z futrzanych kombinezonów mieszkańców tundry było zaszyte właśnie to licho, twarz którego mi przypadła brakiem rysów dzikości. Ostatecznie, co to mię obchodzi, pomyślałem i odchodzę. Gdzie tu przenocować, martwię się nie na żarty. Do wsi zadaleko, w mieście nie wolno. W trupiarni szpitalnej nocowałem tylko raz i nie podobało mi się takie sztywne, owinięte w rogózki, towarzystwo. Chociaż jeden z kolegów, który tam stałe zakradał się na zakonspirowany nocleg, bardzo pochlebnie się odzywał o wychowaniu truposzy...

Więc smutny i głodny wracam na przedmieście z zamiarem udania się do pewnej kryjówki. I znowóż przystanąłem na biwaku reniferów, którym już odbierano siano, poprawiano uprzęż, szykując się do dalszej drogi. Teraz dzikuska mię poszukała. Przy blasku Zorzy i fosforyzującego śniegu badaliśmy się wzrokiem. „Tyś polityczny, czego tu szukasz?” pyta. „A co cię renico obchodzi?” odpowiadam, lecz po polsku, sam sobie właściwie, a ta odrazu przysiadła na saniach i ścisnąwszy mą dłoń szepcze: „Coś powiedział? Powtórz powoli, znany mi jest dźwięk tej mowy”. Teraz ja z kolei usiadłem na śniegu. Powtórzyłem, co chciała i czekam. Poklepała mnie po niegolonym policzku.

— Co tu robisz chłopcze... mój ojciec dawno... masz czas?

— Albo co?

— Chcesz jechać ze mną? Niedaleko.

— Pojadę, odparłem, bo co miałem do stracenia.

Za chwilę, otulony w dachę, pocałowany w czoło, gnałem jak wicher na saniach dzikuski. Od lodowatych pól Oceanu gnał szalony wicher, mroząc krew, wypalając oczy. A renifery prą jak szatany. Zacząłem podejrzewać jakiś nieprzyjemny kawał. Nic innego tylko ożenią mię z tym lapońskim pokurczem, lub zjedzą, jak czynią to z ekspedycjami oświatowymi, myślę i już chciałem bryknąć z sani, a „narzeczona” cap! za ramię. „Dureń” mruknęła. Trudno, zdałem się więc na łaskę losu.

W pyle śniegu, ogłuszani szaloną jazdą, wpadamy w absolutną ciszę boru. Zwierzęta zwalniają i przemknąwszy niby duchy przez szerokie jezioro, zaryły raciczkami w twardą powierzchnię samotnego obejścia. Dygotającego z zimna wyciągnęła mnie kobieta do parnej izby, krzycząc radośnie:

— Ojciec, a ja ci Polaka przywiozłam! Skoczyła na podwórko do innych dzikusów.

— Co, Polak, naprawdę Polak? — usłyszałem głos nieproporcjonalnie cichy do longinusowej postawy mężczyzny z sumiasnymi wąsami.

— Tak, jestem Polakiem.

Za chwilę wyściskany, wycalowany i wskrzeszony łykiem gorzały, dowiedziałem się o wszystkim. Pan Jan M. pochodził z Wilna, wysłano go na Północ przed dwudziestu pięciu laty. I pewnego roku, w czasie epidemii tyfusu, w ciągu tygodnia, opowiadał mi cicho, pochowałem dwie córki, trzech chłopaków i żonę. Pozostała ta jedna córka. Wyszła zamąż za myśliwego z tundry. „Czasem wpadnie do mnie jak po ogień i znika. Trochę dzika — matka jej nie była Polka.”

— Dobrze — przerwałem nieśmiało — a jak to się stało, że przez tyle lat, w takim otoczeniu nie zapomniał pan...

Uśmiechając się, zdjął z półki stare skrzypce i zagrał. Aż podskoczyłem: brzęczały podkóweczki i stókolki krakowiaków, przesunęły po izbie pary w polonezie, rozplywając się za oknem w borze. Milczałem.

— One są z Wilna — szepnął pan Jan wskazując na skrzypce — z nimi rozmawiając nie zapomniałem.

ANEKDOTY

Pewien dziennikarz powiedział rano do swojej gospodyni: „Zdaje mi się, że w tym roku będą bardzo dobre zbiory.”

Gospodyni oburzyła się: „Nic podobnego, zbiory będą bardzo marne”. Dziennikarz poszedł do redakcji i napisał artykuł o tym, że przewidywane zbiory zapowiadają się bardzo dobrze. Nazajutrz gospodyni przy śniadaniu powiada: „Z tymi zbiorami wczoraj to pan miał rację, a nie ja. W gazecie dziś pisało, że będą wspaniałe.”

Do adwokata zgłasza się klient. Najpierw wpłaca mu sto złotych zaliczki na kosztą, potym tłumaczy swoją sprawę. Mówi, że jest oskarżony niesłusznie o kradzież:

— Ten gość powiada, że poczuł moją rękę w kieszeni. Łże. Jestem kieszonkowcem od dwudziestu czterech lat i nigdy jeszcze nikt nie poczuł mojej graby w kieszeni.

Klient wyszedł. Adwokat sięga do kieszeni, żeby wyjąć otrzymane sto złotych i schować do kasy i stwierdza, że pieniądze zniknęły. Niema ich także w żadnej innej kieszeni ani na stole. W tej chwili ktoś puka i wchodzi ten sam klient. W rękę trzyma sto złotych, daje je adwokatowi i mówi:

— Chciałem, żeby pan tej sprawy bronił z sercem. Sam się pan teraz przekonał, że ten gość łąze.

W biurze werbowym armii kanadyjskiej sierżant zbiera odciski palców od rekrutów. „Umyjcie ręce w tej miednicy” powiada do jednego z nich. „Obie, czy tylko jedną?” Sierżant namyśla się przez chwilę: „Jedną tylko. Chcę widzieć jak to będziecie robić”.

Na krótko przed wybuchem wojny z Ameryką w Japonii pocichu wprowadzono cenzurę listów. Pewien Amerykanin napisał do swego przyjaciela w Stanach: „Nie wiem, czy mój list dojdzie do ciebie, bo cenzura japońska może go przejąć”. W dwa dni potym otrzymał pełen oburzenia list z japońskiego urzędu pocztowego: „Twierdzenie zawarte w pańskim liście jest nieprawdziwe. Listy na naszej poczcie nie są otwierane.”

Pewien oficer amerykański zatrzymał żołnierza, który mu nie salutował i ostro zwrócił mu uwagę. Nazajutrz spotyka tego samego żołnierza i tamten znowu mu nie oddaje honorów.

— Czy nie zwracałem wam wczoraj uwagi o salutowanie?

— Tak. Też dziś nie salutowałem, bo myślałem, że może pan się wciąż jeszcze na mnie gniewa.

Pewna staruszka po raz pierwszy w życiu telefonowała z automatu. Telefonistka miała z nią masę kłopotu, ale w końcu jakoś rozmowa się odbyła. Po jej zakończeniu staruszka raz jeszcze zakręciła literę centrali i powiedziała: „Chciałam bardzo podziękować, że pani była taka wyrozumiała dla mnie. Wrzucam jeszcze dwa peny, to już dla pani.”

SWIETO MORZA

10-ty Lutego obchodzony był w Polsce jako Dzień Morza. Jest to zarazem święto Marynarki Polskiej. W tym dniu przed dwudziestu pięciu laty, a więc równo ćwierć wieku temu Polska objęła w posiadanie wąski pas wybrzeża Bałtyku. Dziewiętnaście lat tylko było jej danym tam gospodarzyć. Tych lat nie zmarnowała. Zbudowała największy na Bałtyku port w Gdyni, rozwinęła port gdański, stworzyła własną flotę handlową i wojenną.

Te floty służą jej wiernie do dziś dnia. Zgodnie z prawem międzynarodowym jedyne skrawki niepodległego terytorium polskiego są pokłady naszych okrętów i statków. Polska flota wojenna i handlowa od początku wojny bez przerwy bierze udział w działaniach wojennych na wszystkich niemal morzach świata. Jest to ta część naszych sił zbrojnych, która jest w akcji najdawniej i bez przerwy. Zasłużyła sobie na dobre miano u sojuszników.

Polska położona między wielkimi potęgami gospodarczymi i politycznymi dla swej niepodległości potrzebuje niezbędnie wolnego dostępu do morza. Dostępu znacznie szerszego i bezpieczniejszego niż miała przed wojną. Wykazała, że umie z niego korzystać.

WACŁAW IWANIUK.

ARROMANCHES

Arromanches - miasto leżące w pianie —
Jest tak miłe jak pierwsze wyznanie.
Arromanches — drzewo słodkich dróg
Z piany rośnie i pada do nóg.
Jutro rano o szóstej z zatoki
Wyjdziem depcąc fal mokre obłoki
Burzliwego kanału La Manche —
By cię objąć — o Arromanches!
Arromanches, 2-VIII-1944.

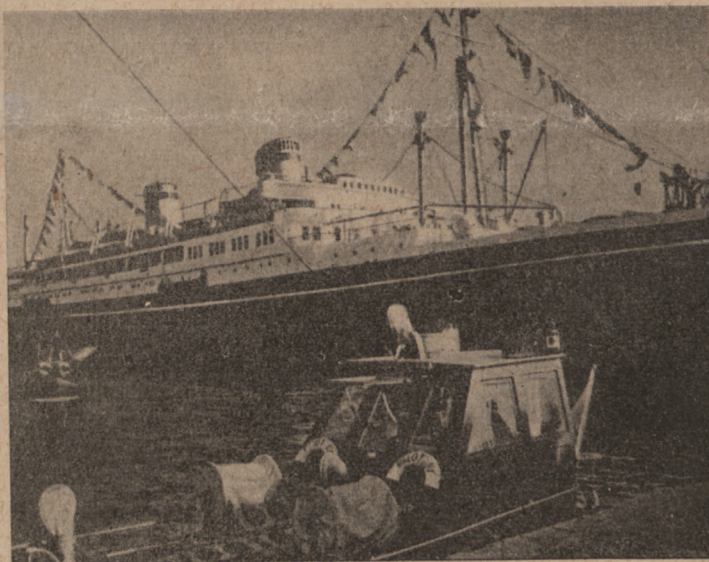
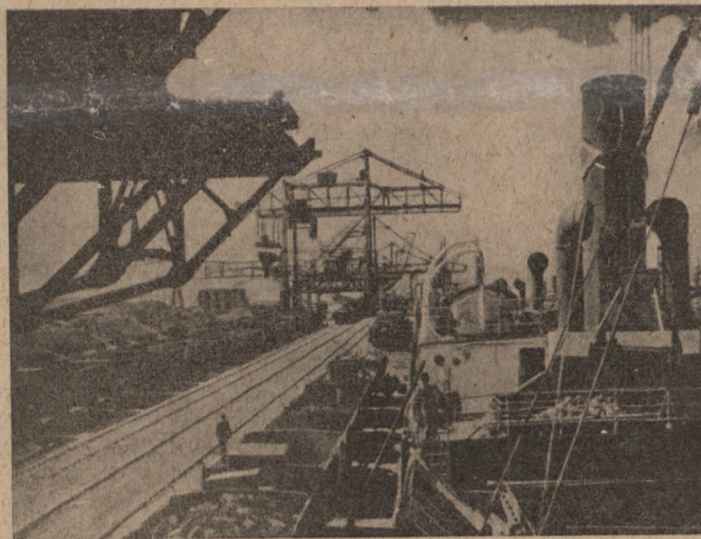
CO TO SA PODATKI

Pewnemu murzynowi w Południowej Afryce starano się wytłumaczyć, dlaczego ma płacić podatki.

— Rząd, jak ojciec, ochrania cię przed wrogami, opiekuje się tobą, kiedy jesteś chory, karmi cię, gdy nie masz co jeść, daje ci wykształcenie, a na to wszystko potrzeba pieniędzy. Rozumiesz?

— Tak, rozumiem. To jest tak: Mam psa, mój pies jest głodny i przychodzi prosić mnie o jedzenie. Mówię do niego: „Mój drogi, wierny psie, widzę, że jesteś bardzo głodny, żal mi ciebie, dam ci zaraz mięsa.” Potym biorę nóż, obcinam mu ogon, daję mu go i mówię: „Masz tu, mój wierny psie, nakarm się tym kawałkiem mięsa.”

G D Y N I A



Po tamtej wojnie przyznano Polsce dostęp do morza, ale nie przyznano jej jedyne naturalnego portu u ujścia Wisły, Gdańska, z którego zrobiono Wolne Miasto pod opieką Ligi Narodów. Polska potrzebowała własnego portu.

Mała, tysiąc ludności licząca wioska rybacka, Gdynia została wybrana na miejsce przyszłego portu. Mimo ciężkich warunków gospodarczych i kłopotów politycznych, w jakich się Polska znajdowała, wyteżono całą energię na budowę portu. W 1930-ym roku Gdynia liczyła już 30 tysięcy miesz-

kańców a w 1939-ym 120 tysięcy. Powstał tu najnowocześniejszy port w Europie i największy na Bałtyku. Powstały baseny portowe, doki, całe miasto w iście amerykańskim tempie. Specjalna linia kolejowa połączyła bezpośrednio Zagłębie węglowe śląskie z Gdynią. Zbudowano flotę handlową, rybacką i wojenną. Szkoły morskie umieszcili się w Gdyni, największym mieście Pomorza. Port gdyński pozostawił poza sobą nie tylko Gdańsk, ale także Stockholm, Królewiec, Szczecin.

W roku 1938-ym już 77 %, tj. przeszło

trzy czwarte polskiego wywozu i przywozu zza granicy szło drogą morską. W tym większość szła przez Gdynię, a mian. 46,1 % a 31,6 % przez Gdańsk, którego port doznał także ogromnego rozwoju. Liczba statków handlowych polskich w ostatnim dziesięcioleciu przed wojną wzrosła z 25 na 71. W roku 1938 weszło do portu 6500 statków o tonażu 6500.000 ton.

Od chwili wkroczenia Niemców ruch w porcie i w mieście zamarł. W przyszłości zapewne Gdynia i Gdańsk stanowiąc będą jeden olbrzymi port.

Pismo to jest przeznaczone wyłącznie dla wojskowych i nie może być rozpowszechniane wśród cywilnych.
This paper is only for members of Allied Forces and cannot be sold to any civilian persons.

WYDAJE PLUTON OPIEKI NAD ZOTNIERZEM PIERWSZEJ DYWIZJI PANCERNEJ
ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI: P/40/OS POLISH FORCES. BRITISH LIBERATION ARMY